



KIH-α

Kurier Instytutu Historii

№ 9 (16), R. II
2006

www.sknh.uni.lodz.pl

czerwiec

Drodzy Czytelnicy !!!

Oddajemy Wam w ręce kolejny, ostatni w tym roku akademickim, numer naszego Kuriera Instytutu Historii. Mamy nadzieję, że będzie on miłym towarzyszem Waszych wakacyjnych wojaży.

W czerwcowym numerze możecie przeczytać m.in. o Radovanie Karadžiću, Elfridzie Jelinek, jak również oferujemy Wam historię Koła, spisana przez Oslawionego Cyklistę.

Życzymy miłej lektury!

Redakcja



Radovan Karadžić – psychiatra, poeta i zbrodniarz

Urodził się w 1945 r. w Czarnogórze. Przyjechał do Sarajewa jako nastolatek, by tutaj ukończyć szkołę średnią i rozpocząć studia medyczne. Jednak dla kolegów z miasta zawsze był chłopakiem z prowincji. W wieku 16 lat zaczął pisać wiersze. Prawdopodobnie w 1968 r., w czasie protestów studenckich, Karadžić współpracował z tajną policją, donosząc na swoich znajomych. W 1971 r. ukończył studia i rozpoczął pracę jako psychiatra. Wkrótce ożenił się i założył rodziną. Przypuszcza się, że dorabiał wypisując fałszywe zwolnienia drobnym sarajewskim złodziejom. Pracował także m. in. jako psychiatra drużyny piłkarskiej. W połowie lat 80. znalazł się w więzieniu za przestępstwa gospodarcze, których dopuścił się razem z Momčilo Krajnikiem (kilka lat później został przewodniczącym parlamentu bośniackich Serbów), choć potem twierdził, że siedział za działalność polityczną.

W 1989 r. zaangażował się w politykę. Najpierw był szefem bośniackiej partii „zielonych”, aby po krótkim czasie stać się jednym z założycieli Serbskiej Partii Demokratycznej (SDS), której został przewodniczącym. Reprezentowała ona ludność serbską w Bośni i opowiadała się za pozostaniem tej republiki w federacji jugosłowiańskiej, lub za przyłączeniem ziem zamieszkałych przez Serbów do Serbii.

Gdy w kwietniu 1992 r. państwa zachodnie uznały niepodległość Bośni, Serbowie stworzą własną Serbską Republikę Bośnię i Hercegowinę, na czele której, jako prezydent, stanął Karadžić. Rozpoczęła się długa i krwawa wojna domowa, a on sam został oskarżony w 1995 r. o zbrodnie wojenne. Bliscy współpracownicy nazywali go „Doktorem”. Biegłe posługiwał się językiem angielskim (przebywał krótki czas w USA w latach 70.), co ułatwiało mu kontakt z politykami i dziennikarzami zachodnimi. Wykorzystywał także władzę, aby się wzbogacić, tak jak wielu z liderów SDS. Karadžić wiele razy wypowiadał się butnie i groził całemu światu. Na początku marca 1992 roku stwierdził, że w porównaniu do konfliktu w Bośni – *„Irlandia Płn. będzie wyglądała jak kurort nad morzem”*. Kilka miesięcy później zapowiedział: *„Muzułmanie w Bośni i Hercegowinie znikną z powierzchni ziemi”*. Gdy w 1994 r. odwiedzał serbskie oddziały po ataku samolotów NATO, stwierdził: *„Jesteście najlepsi. Nie jesteście bosymi Somalijczykami, ale najlepszą armią w Europie”*. Amerykanom groził, iż w przypadku interwencji, zgotuje im *„drugi Wietnam”*.

Po pewnym czasie przestał słuchać poleceń Slobodana Miloševicia, co spowodowało zerwanie bliskich kontaktów nowej Jugosławii z Serbami bośniackimi. Jednak interwencja USA i NATO oraz niepowodzenia w walkach z Muzułmanami i Chorwatami w 1995 r., zmusiły Serbów do rozmów pokojowych, które zakończyły pod koniec 1995 r. krwawą wojnę. W negocjacjach tych Karadžić już nie uczestniczył, gdyż uznawany był przez społeczność międzynarodową za zbrodniarza. Jednak do połowy 1996 r. stał na czele Republiki Serbskiej w Bośni, gdy ostatecznie wycofał się oficjalnie z życia publicznego.

Zwolennicy lidera bośniackich Serbów utworzyli specjalny komitet, za pośrednictwem którego wydane są różne materiały o Karadžiću, w tym jego wiersze i wspomnienia, a w 2002 r. ukazał się nawet tomik poezji dziecięcej. Warto dodać, że wcześniej był nagrodzony za swoją twórczość literacką. W 1994 r. odebrał w Moskwie nagrodę literacką, którą przyznał mu Związek Pisarzy Rosji, stowarzyszenie sympatyzujące z nacjonalistami i komunistami rosyjskimi. Dopatrzoneo się w jego twórczości *„nieprzemijających wartości humanistycznych i moralnych”*.

Od wycofania się z życia politycznego, podejmowanych było wiele prób schwycenia Karadžicia, jednak cały czas pozostaje na wolności, tak samo jak jego współpracownik, gen. Ratko Mladić, chociaż za ich głowy USA oferują 5 mln USD. Obaj poszukiwani są przez Haski Trybunał za liczne zbrodnie, których dopuściły się oddziały Serbów bośniackich w Bośni, w tym za wymordowanie kilku tysięcy Muzułmanów w Srebrenicy w 1995 r.

ZAMEK W SOCHACZEWIE (2)

Grubość muru kurtynowego warowni wynosiła 2,5 metra, o jego wysokości zaś informacji bezpośrednich nie posiadamy. Wieże, jeśli idzie o ich wysokość, równe były murom lub o jedną kondygnację od nich wyższe. Niewykluczone jest, że ta najwyższa kondygnacja (jeśli w ogóle istniała) miała postać drewnianej izbicy. Opierając się na źródłach pisanych stwierdzić należy, że cała zabudowa wewnętrzna zamku była z drzewa. Przyczyną braku murowanej zabudowy dziedzińca, jak i wyższej wysokości wież, byłby na pewno odwieczny problem sochaczewskiej warowni, czyli mała, nie tolerująca dużego obciążenia stabilność i spistość gruntu na wzgórzu zamkowym, a także permanentne osuwanie się zboczy góry, które powodowało spękania muru obronnego i również ruinę zabudowy wewnętrznej. Zamek posiadał w XVI wieku jedynie dwie piwnice (jedną drewnianą a druga murowaną – na więzienie), a także jamę zasobową na dziedzińcu służącą do przechowywania pożywienia. Zamek nie posiadał niestety studni, co było poważnym mankamentem jeśli chodzi o jego obronne możliwości. Wodę do wielkiej zamkowej kadzi dostarczał woziwoda - *ductor aquae*. W warowni w czasie pokoju rezydowała nieliczna załoga, tzw. *familia castris*. Oprócz starosty, względnie podstarościego i czasowo przebywającego wojskiego, składała się ona z 4 grodzian (swego rodzaju milicja zamkowa, zazwyczaj rekrutująca się spośród ubogiej szlachty), klucznika, wrotnego lub odźwiernego, dwóch nocnych stróżów, kucharza i w/w woziwody. W XVI wieku zamek utrzymywał także kapelana kaplicy królewskiej oraz piekarkę, która mieszkała we wsi Czerwonka, ale chleb piekła na zamku.

W ciągu XVI wieku niestabilne wzgórze zamkowe coraz bardziej dawało się zamkowi sochaczewskiemu we znaki, przyczyniając się, mimo ciągłych starościńskich remontów, do jego opustoszenia i postępującej ruiny. Na początku XVII wieku sytuacja stała się na tyle poważna, że warownia przestała już spełniać swe podstawowe wymogi urzędowo-mieszkalno-obronne. Los zamku przypieczętowała katastrofa budowlana. Zniszczenie i upadek budowli były na tyle duże, że król Zygmunt III Waza mający, być może, także co do zamku własne plany i zamierzenia, nakazał około 1608 roku ówczesnemu staroście sochaczewskiemu Stanisławowi Radziejowskiemu odbudowanie obiektu, jako zupełnie nowego, z założenia o charakterze późnorennesansowym, przeznaczając mu na to 1000 florenów rocznie. Zapał króla do realizacji swych planów w Sochaczewie z czasem jednak osłabł (być może chodziło o brak gotówki), ponieważ, mimo ambitnego projektu i początkowo gorliwego jego wykonawcy w postaci starosty Radziejowskiego budowa zamku trwała niezmiernie długo i nigdy nie została ukończona. Radziejowski rozebrał do poziomu fundamentów zamek gotycki, pozostawiając jedynie, mieszczącą archiwum ksiąg grodzkich, wieżę północną, co nawiasem mówiąc świadczyło o jej dobrym stanie technicznym. Fundamenty gotyckiej budowli zostały wzmocnione i w wielu miejscach przemurowane, a następnie w swej 2,5 metrowej grubości podciągnięte o 1,5 metra w górę, ponieważ o tyle został podniesiony poziom wzgórza, które nie tylko podwyższono i obsypano, ale także wzmocniono polowaniem na narożach. Zauważyć należy, że takie fundamenty były dużo grubsze od murów nowego zamku, mających 1,2 metra grubości. Gdy do tych wszystkich zabiegów dodamy fakt, że nowe założenie, na całym zewnętrznym obwodzie i prawie na całym wewnętrznym, powtarzało obrys założenia gotyckiego, to bez problemu będzie można dostrzec, jak ogromną pracę włożono w to, aby zbocza góry już się nie obsuwały, a zamek nowożytny miał dobre posadowienie w gruncie, które umożliwiłoby wystawienie go w całości z cegły. W 1630 roku zamek był w trakcie budowy, miał już ukończony parter i był przygotowany na budowę piętra. Niestety nigdy do tej nadbudowy nie doszło, co było prawdopodobnie spowodowane brakiem pieniędzy, jak i śmiercią pomysłodawcy

przedsięwzięcia czyli Zygmunta III Wazy (1632 rok) oraz opieszałością starosty Stanisława Radziejowskiego w realizacji odbudowy. Tak więc zamek nowożytny był budowlą składającą się z trzech skrzydeł: wschodniego, południowego i zachodniego. Najbardziej reprezentacyjne było skrzydło zachodnie, mające 12 metrów szerokości i mieszczące w sobie urzędowo najważniejsze i najbardziej reprezentacyjne komnaty w całym budynku, czyli: „salę rycerską” o siedmiu wielkich oknach, sklepiony skarbiec na srebro i „sień wielką”, z której miały prowadzić kręcone schody na piętro. Pozostałe dwa skrzydła liczące po 8 metrów szerokości, mieściły sale o mniejszej rangi. Na fundamencie rozebranej, dawnej wieży wschodniej, wystawiono ośmiokątną wieżę, zintegrowaną ze skrzydłem wschodnim i mieszczącą kaplicę. Wieża ta, a także znajdująca się przed nią sień, będąca już częścią głównego budynku, mogły być jedynymi elementami zamku nowożytnego, w których udało się wystawić planowane pierwsze piętro. Wedle moich przypuszczeń, wynikających z analizy źródeł rękopiśmiennych i archeologicznych, we wschodnim skrzydle mieszkalnym, tuż przy wieży z kaplicą, znajdował się wjazd do zamku. Poprowadzony był on tak samo jak w zamku gotyckim po dębowym moście. Potwierdzić lub zdementować tą teorię, mogą jedynie badania archeologiczne. W gotyckiej wieży północnej, oprócz wspomnianego już archiwum ksiąg grodzkich, znajdowało się na piętrze mieszkanie wrotnego i kancelaria grodzka. Pozostałą przestrzeń dziedzińca od strony północnej, północno-wschodniej i wschodniej zamykał mur nowożytny, po którym niestety do dziś nie pozostało żadnego śladu. Nieukończony zamek przykryty był prowizorycznym dachem gontowym, który już w 1638 roku określany był jako „zły”. Jakość wykonania tego dachu świadczy o tym, że idea budowy piętra w momencie tworzenia tej prowizorki nie została zarzucona, a jedynie odłożona w czasie. Jakaśkolwiek szansę na realizację tych planów przekreślił „Potop szwedzki”, który doprowadził do znacznego zniszczenia zamku. Od tego momentu zamek znalazł się w ruinie na długie lata. Dopiero w latach 1789-1790 jego restaurację przeprowadził starosta Walicki, koncentrując się jednak najbardziej na przystosowaniu zamku do pełnienia funkcji urzędowych – kancelarii i archiwum grodzkiego, a zupełnie nie zważając na planowane, jeszcze za czasów Radziejowskiego, funkcje mieszkalne. Tak więc w ten sposób zamek stracił ostatnią szansę na pełną realizację wizji architektonicznej Zygmunta III Wazy związanej z budową piętra. Ostateczny koniec istnienia sochaczewskiej warowni nastąpił podczas powstania kościuszkowskiego w 1794 roku, kiedy została ona zniszczona przy pomocy dział przez wojsko pruskie. Prób odbudowy lub konserwacji już nie podjęto i od tamtej pory stan ruiny ustawicznie się pogarsza

Jak parokrotnie sygnalizowałem w tym artykule, istniała konieczność wykonania kolejnych badań archeologicznych na zamku, aby rozmaite kwestie choć w części mogły znaleźć rozwiązanie. Angażując się w sprawę osobiście udało mi się, po ponad rocznych już działaniach, doprowadzić do porozumienia między władzami Sochaczewa, a dyrektorem Instytutu Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego prof. Leszkiem Kajzerem i w ten sposób wykopaliska archeologiczne na zamku zaplanowane na lipiec 2006 roku stały się faktem. Tak więc niedługo historia zamku zostanie, mam nadzieję, poszerzona o kilka nowych elementów. Ruina wymaga nie tylko badań, ale również, z racji kiepskiego stanu architektonicznego, zakrojonych na szeroką skalę prac konserwatorsko-budowlanych, które mogłyby nie tylko doprowadzić do jej zachowania, ale nawet do rekonstrukcji części lub całości założenia, czego zresztą od lat jestem gorącym zwolennikiem i propagatorem. Bariere w tej sprawie stanowią jak zwykle kwestie dużych nakładów finansowych, które trzeba byłoby ponieść, ale cóż, może z czasem uda się zdobyć na ten tak ważny cel środki finansowe. Tak więc, patrząc w przyszłość z nadzieją, mogę przewrotnie powiedzieć, że mam co robić...

Łukasz Popowski

„życie właśnie przejeżdża!”

Oto brigitte. Oto paula. paula skończyła w miejscu, w którym brigitte zaczynała, a z którego udało jej się wyrwać. To je łączy. Podobnie jak fakt, że obie próbowały pokierować swoim losem, starały się odnaleźć swój sposób na życie. Czy im się udało? Powinam się chyba zapytać, czy miały w ogóle szanse na sukces, bo przecież w pisarstwie Jelinek „*jeśli ktoś dysponuje losem, to mężczyzna. jeżeli kogoś dotyka los, to kobietę.*”¹ A brigitte i paula są właśnie bohaterkami powieści pióra Elfride Jelinek *Amatorki*.

Elfride Jelinek w 2004 roku została laureatką Literacką Nagrodą Nobla, dzięki czemu możemy obserwować w naszym kraju wzmożone zainteresowanie jej twórczością, znajdujące wyraz chociażby w wydawaniu prac wcześniej w Polsce nie tłumaczonych, jak i reedycji pozycji znanych już polskiemu czytelnikowi². *Amatorki (Die Liebhaberinnen, 1975)* są uważane za jedną z kluczowych pozycji w twórczości austriackiej pisarki i jakkolwiek nie jest to powieść najbardziej w dorobku Jelinek kontrowersyjna, z pewnością przyczyniła się w utrwaleniu wizerunku pisarki, jako wojującej feministki.

Bohaterkami *Amatorek* są dwie kobiety, paula (właściwie mająca dopiero kobietą się stać, poznajemy ją, gdy ma 15 lat) i brigitte. Już na samym początku zastanawia fakt pisania ich imion z małej litery (konsekwentnie przez całą powieść). Nie jest to jednak zabieg dotyczący tylko i wyłącznie imion żeńskich, z męskimi sprawa ma się tak samo (aczkolwiek może wygodniej dla interpretacji byłoby ten fakt przemilczeć). Być może jest to tylko celowy zabieg stylistyczny, gdyż w całej powieści Jelinek lekceważy zasady pisowni, nowe zdania również rozpoczynając od małej litery. Wydaje mi się jednak, że pisarka podkreśla w ten sposób swój stosunek do kreowanych przez siebie bohaterów, dokonuje ich reifikacji. Potwierdzeniem tego byłyby również, stosowane momentami przez pisarkę, skróty imion (brigitte lub po prostu b.)

Obie bohaterki *Amatorek*, jak już napisałam we wstępie, poznajemy w momencie, w którym usiłują pokierować własnym życiem. Poświęcają wszystkie swoje siły i czas by osiągnąć wyznaczony cel, który można, właściwie w obu przypadkach, sprowadzić do utrzymania przy sobie mężczyzny. Niekoniecznie w imię miłości.

brigitte pracuje w fabryce, mężczyzna (heinz) jest dla niej szansą na wyrwanie się z niej, szansą na lepsze życie. Cała jej przyszłość zdaje się być zależna od tego, czy uda jej się utrzymać heinza przy sobie, czy też nie. Zbyt pochopne byłoby jednak twierdzenie, że brigitte kocha swojego wybranka. Nawet gdy mówi, że go kocha nie można mieć złudzeń, że nie o miłość tu idzie. Jelinek nie pozostawia nam złudzeń: „*brigitte chce zdobyć heinza, który później powinien zdobywać coś dla niej, gdyż ma przed sobą przyszłość. jego przyszłość zależy od branży elektrycznej, w której pracuje. przyszłość brigitte zależy od heinza.*” Nie ma miłości w brigitte jest za to inne uczucie, którego czytelnik raczej w tej historii się nie spodziewa – nienawiść: „*trudno uwierzyć, jak mocno można kogoś nienawidzić. brigitte spojrzy tylko na heinza i już go nienawidzi.*” Niemniej, bohaterka nie ma zamiaru zmieniać swojego wyboru, heinz jest dla niej jedyną przyszłością i tego się trzyma: „*również wstręt czuje brigitte do heinza i do jego białego, tłustego ciała-elektryka, które też zwie się heinz. mimo to jest znowu radosna, tak radosna, śmiertelnie radosna, że go ma, bo jest jej przyszłością.*” Cały jej świat ogranicza się do heinza, a szczęście..? Cóż, „*szczęście jako takie jest brigitte obojętne, to znaczy, według niej heinz-dobrobyt i szczęście są jedną i tą samą osobą. dlatego heinz całkowicie jej wystarczy.*” Tyle pozostaje nam z romantycznej miłości.

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z książki E. Jelinek, *Amatorki*, Warszawa 2005.

² Drugiego wydania doczekała się *Pianistka* (Warszawa 2004). Na wzrost zainteresowania tą powieścią wpłynął również fakt jej sfilmowania w 2001 roku przez Michaela Haneke.

W przypadku pauli sprawa wydaje się być trochę bardziej skomplikowana. Mieszka na wsi i to, już na sam początek, mocno determinuje jej życie. Pisarka przedstawia nam, jakie możliwości wyboru stoją przed naszą bohaterką: „*ma 15 lat. ma dosyć lat, by wolno jej było zastanawiać się, kim chciałaby być: gospodynią domową czy sprzedawczynią, sprzedawczynią czy gospodynią domową.*” Jednak paula nie zamierza tak łatwo się poddawać, aczkolwiek jej manewr i tak, jak zdradza nam sama pisarka nie zakończy się sukcesem: „*paula chce uczyć się krawiectwa. tego jeszcze we wsi nie było, że któraś chce się czegoś UCZYĆ. nic dobrego z tego nie wyjdzie.*” I faktycznie, krawiectwo pozostało jedynie niezrealizowanym projektem, drogą, którą porzuciła na rzecz mniej kontrowersyjnej, co nie znaczy, że bardziej bezpiecznej. Alternatywą okazuje się być miłość. To dla niej paula porzuca krawiectwo, to z nią wiąże swoją przyszłość, ona jest dla niej najważniejsza: „*paula ta głupia gęś, musi kogoś kochać!*” Jak jednak łatwo przewidzieć, i jak się wkrótce okaże, wskutek licznych okoliczności (źle wybrany obiekt westchnień, ciąża, nie będąca bynajmniej skutkiem małżeńskiego pożycia) miłość nie będzie długo towarzyszyć pauli. Pojawi się natomiast: „*nienawiść, która rośnie i rośnie. te uczucia nie weszły w nią same, wielu nad tym ciężko pracowało.*” paula w ogóle jest w tej powieści tą przegraną: „*w głowie pauli mieszają się życzenia z marzeniami i planami, tworząc papkę nie do strawienia. to zabawne tak się przyglądać, jak pauli ciągle powija się noga.*” Dobrym wzorem ma być brigitte, za którym „*podąża zły przykład pauli.*” Doprawdy, okrutna jest Jelinek stawiając brigitte, jako „*dobry przykład*”.

Bezlitośnie rozprawia się pisarka z mitem macierzyństwa, jak pisze w przypadku pauli: „*grozi jej coś więcej niż upadek. grozi jej przerwanie comiesięcznej przypadłości. nie zawsze jest pięknie, kiedy ta przypadłość ustaje.*” Dalsze losy bohaterki są potwierdzeniem tego stwierdzenia. A, co z drzemającym w każdej kobiecie instynktem macierzyńskim i miłością do bobasów? Również nie można mieć wątpliwości: „*tak naprawdę to brigitte czuje wstręt do niemowlaków. tak naprawdę to najchętniej połamałaby im delikatne paluszki u rączek, a bezradne maleńkie paluszki u nóżek naszpikowała bambusowymi drzazgami.*” Jednak brigitte chce mieć dziecko: „*konieczne jest dziecko! wstrętny, biały, wiecznie przy piersi wiszący pędrak. dla heinza będzie to jasne i oczywiste: nasze dziecko! będzie ono ucieleśnieniem długotrwałej więzi, której b. szuka.*”

Pisarka nie pozostawia nam złudzeń, co do relacji między kobietą i mężczyzną: „*ta powieść opowiada o przedmiocie paula. przedmiotem paula rozporządza erich.*” Kobiety traktowane są, jako przedmiot, który się kupuje, którym się dysponuje. A jedyne, co mogą zaoferować to ciało: „*ciało dla brigitte to droga do lepszego celu*”. Pytanie pozostawione przez Jelinek: „*chyba heinz nie widzi w brigitte jedynie ciała, lecz całe to bogactwo, które się w nim kryje?*”, zdaje się mieć tylko jedną możliwą odpowiedź. Demaskuje również, w charakterystycznym dla siebie stylu, dobrze znany nam podział na strefę działa kobiety i mężczyzny: „*sztuka kulinarna brigitte bywa często przedmiotem żartów. sztuka prowadzenia interesów przez heinza nigdy nie jest przedmiotem jakichkolwiek żartów. jest poważna i egzystencjalna.*” Oddajmy na koniec głos samej autorce: „*opisuję związek między mężczyzną a kobietą, jako heglowską relację między panem i niewolnikiem. Dopóki miarą wartości seksualnej mężczyzny będą praca, sława i bogactwo, a kobiecie jako źródło siły pozostanie tylko jej ciało, młodość i uroda, nic się nie zmienia.*”

Jelinek, w *Amatorkach*, w sposób bezlitosny i bezwzględny demaskuje patriarchalną rzeczywistości. Jej styl jest pozbawiony subtelności, nie ma w nim miejsca na niedomówienia, wątpliwości. Można zarzucić jej wypaczanie rzeczywistości, koloryzowanie, emocjonalne upośledzenie bohaterów przez nią wykreowanych. Oczywiście, że można. Nie sądzę jednak, by zwalniało nas to z obowiązku odpowiedzi na pytanie, czy oby na pewno historia opowiedziana przez austriacką pisarkę ponad trzydzieści lat temu, współcześnie wydarzyć by się nie mogła.

**Prawdziwa i lekko podkoloryzowana historia SKNH część 2
(2005/2006)**

W roku akademickim 2005/2006 kontynuowałem przygodę z Kołem Naukowym, będąc już znanym i stanowiącym o jego sile i uroku członkiem. Rok zaczął się niezłe, Kurier Instytutu został wydany prawie bez poślizgu, na zebraniach nie brakowało nikogo ze starego składu, ba, nawet ex-Szef zaszczycał nas czasem swoją obecnością i gawędził słodko z Trolem za plecami Szefa obecnego. Dostaliśmy również swój własny pokój, i chociaż Samorząd studencki w osobie imiennika Nadgorliwca (który w międzyczasie został Gensekiem), uparcie twierdził, że pokój jest przez Samorząd jeno użyczony, Koło, nie przejmując się tymi niewczesnymi wycieczkami, działało prężnie. Gdzieś tak pod koniec października zaczął się pewien ruch – do Koła zaczęli napływać nowi członkowie. Z dumą możemy stwierdzić, że nie było wśród nich nikogo normalnego – choć początkowo niektórzy się maskowali. (przyp red. – wszyscy byli oczywiście nienormalni *in plus*). Silną w słowie, czynach i średniej, reprezentację miał rok III, trochę mniej liczną i z początku bardziej przestraszona rok II. Rok pierwszy najwyraźniej o Kole nie słyszał, albo bał się nawiązywać z nami współpracę. W pierwszych miesiącach roku akademickiego, głównym problemem było wydawanie KIH-y i planowanie strategii na semestr następny... Lecz gdy tylko nowi członkowie okrzepli, SKNH zaczęło działać z niespotykaną dotąd siłą i prężnością. KIH-a wychodziła w terminie, konferencje i spotkania przestały być w sferze mrzonek i dochodziły do skutku, spotkania SKNH nabrały dynamiki, nie tracąc nic ze swojej specyficznej atmosfery, cały skład Koła tryskał pomysłami i w dodatku większość z nich została zrealizowana! Już w styczniu dało to rezultaty w postaci pierwszego w tym roku spotkania z cyklu „Dlaczego wybrałem historię”. Kolejne spotkania odbywały się z niespotykaną dotąd częstotliwością – średnio jedna osoba na miesiąc. Oczywiście najważniejszym z nich było spotkanie z księdzem Bonieckim, spotkanie, którym chwaliliśmy się do znudzenia i będziemy się jeszcze ze dwa lata szczycić (od samego szacownego gościa wiemy, że samo spotkanie, jak i jego opis, też Jemu się podobały). Spotkania te zostały już opisane w poprzednich artykułach, dlatego nie będziemy już do nich wracać. Na początku semestru letniego Koło przygotowywało się do XIV Spędu Historyków Studentów, pożegnało się z dotychczasowym Opiekunem, a przywitało nową Opiekunkę i walczyło z Układem, czy też może Układzikiem, który opóźnił wydawanie KIH-y. Sama KIH-a z początkowych czterech kartek papieru stała się poczytnym periodykiem, budzącym emocje i kontrowersje, a nawet będąca dla niektórych osób swego rodzaju fetyszem. Ponieważ pisało do niej coraz więcej autorów, ze względu na konkurencję między nimi poziom merytoryczny artykułów również się podniósł, a nad niektórymi dyskutowano tygodniami – zarówno w redakcji, jak i wśród odbiorców. Co prawda podnosiły się głosy typu „zróbcie to”, albo „napiszcie o tamtym”, „więcej obrazków, mniej tekstu”, „za mało humoru i aktualności”, „tekst powinien być biały na czarnym tle”, „dajcie pytania z przyszłych testów egzaminacyjnych”, „i krzyżówkę”, „i konkursy z nagrodami, na przykład samochodem”, lecz redakcja stwierdziła, że nie będzie się tym przejmować, dopóki nie usłyszy głosów „podnieście cenę”. W środku semestru odbył się brzemienny w skutki Spęd Historyków Studentów. SKNH odniosło tam spektakularny sukces, opisany już w kwietniowym numerze KIH-y z wielu punktów widzenia. Do tego numeru można jednak dopisać dodatkowe informacje. Otóż, dzięki wydarzeniom jakie tam zaszły, Koło zaczęło cieszyć się większym szacunkiem Kadry – dość powiedzieć, że po poinformowaniu Rady Wydziału o zaszłych tam wydarzeniach dostaliśmy brawa, a Kadra bijąca brawa studentom to ewenement na skalę światową, zdarzający się raz na dekadę, jeśli nie rzadziej. Samo Koło napompowane sukcesem i pełne zapału do dalszej pracy, przygotowuje się już do XV Spędu

Historyków Studentów, mającego odbyć się w Łodzi. Przygotowania są jednak objęte ścisłą tajemnicą, i tylko osoby działające w Kole będą do niej dopuszczone. Wracając do historii, pod koniec kwietnia połowa zarządu SKNH postanowiła zakończyć przygodę z Kołem. Aby zakończyć ją mocnym akcentem, na do widzenia zorganizowali pierwszą międzynarodową konferencję. Konferencja ta także okazała się sukcesem, mimo prób zdestabilizowania jej przez członka Koła, który biegał po Instytucie w żółtych i prześwitujących spodniach podczas jej trwania. Końcówka roku akademickiego przebiegała pracowicie – kolejne konferencje, spotkania z pracownikami instytutu, no i bezustanna walka z Układem (złych okoliczności) który uniemożliwiał wydawanie KIH-y w terminie. Koło udanie kończy działalność, mając w zasadzie tylko jedną porażkę na koncie – Studencki Biuletyn Historyczny jest w głębokiej śpiączce i szanse na reanimację raczej marne. Ale jak zwykle nie jest to naszą winą, Prominentni Działacze Koła zrobili ze swojej strony wszystko, poza zamachem terrorystycznym, aby go wydać. Przyszły rok zapowiada się ciekawie, nie tylko ze względu na XV Zjazd, ale i na niesamowity skład Koła. Koło reprezentuje bowiem pełne spektrum postaci i postaw, od pełnego zaangażowania się Trola i Heraldyka, poprzez umiarkowany entuzjazm Cyklisty i Wie, aż do czarnowidztwa Marudy i wyluzowania Loozaka. Lecz mimo różnic w temperamencie i światopoglądach, Koło w razie potrzeby działa jak dobrze naoliwiona patelnia. Albo rower.

I zamierza działać permanentnie !

Akapit specjalny – w tym roku odchodzi z Koła Nadgorliwiec, będący jego lokomotywą, Gensekiem i ostatnią instancją w sprawach naukowych. Żegnamy go nieutuleni w żalu – bo kto teraz będzie wszystko robił i wszystkiego pilnował – i trzymamy za słowo, że jeszcze nas nawiedzi. Z trochę mniejszym, acz wciąż głębokim żalem dziękujemy za współpracę Krzysztofowi L. i Marcie R. - fajnie z Wami było. I powodzenia na dalszej drodze życia.

Oślawiony Cyklista

Chaplin w spódnicy

La Strada Federico Felliniego uchodzi w świadomości przeciętnego widza za dzieło niekwestionowane wybitne. Jednych porusza poświęcenie z jakim filmowa Gelsomina stara się zdobyć zaufanie Zampano, człowieka, który wyrwał ją z nędzy codzienności przeżywanej w domu rodzinnym. Innych zachwyca wirtuozeria z jaką reżyser operuje pewnymi chwytami kina niemego, w swym, przecież dźwiękowym, obrazie. Jednak do jakiego stopnia jest to nasze odczucie a w jakim manipulacja geniusza tworzącego ze sprawdzonych elementów swą własną estetykę, styl, który był później tak rozpoznawalny jak dziś Almodovara, Leone czy Burtona?

Prościej byłoby powiedzieć czego w tym filmie nie ma, niżby wyliczać co też się tam znajduje, jednak postaram się wyłuskać rzeczy, w moim odczuciu, jest najważniejsze.

La Strada jest filmem drogi. Para głównych bohaterów podróżuje od jednego miasta do kolejnego demonstrując nadzwyczajną siłę Zampano, a także niby śmieszne scenki i tym wszystkim zarabiając na życie. Im więcej kilometrów pokonują tym lepiej Gelsomina poznaje swego szefa, opiekuna. Choć on o sobie nic nie mówi, jego czyny, jak najlepiej o nim świadczą.

Tymczasem on ma w głębokim poważaniu co ona czuje. Nie słucha. Ignoruje, kiedy tylko może. Sprowadza panienkę ostantacyjnie ignorując fakt, iż Gelsomina jest kobietą.

Może niezbyt urodziwą, nie grzeszącą elokwencją, jednak zawsze kobietą. A on traktuje ją nawet nie jak człowieka, lecz jak instrument.

La Strada jest *love story*.

Przynajmniej w jakimś stopniu. Kiedy Zampano zabiera Gelsominę z jej rodzinnej miejscowości, ona ma wrażenie, iż jest nieskończenie dobry. Wybawił ją od biedy. Już nie musi się martwić co do ust włożyć. Pokochała pewne wyobrażenie o człowieku, dzięki któremu dostała niepowtarzalną szansę ucieczki od nędzy. Później przychodzi konfrontacja mitu z rzeczywistością. Wybawiciel okazuje się niewrażliwym gburem o skłonnościach sadystycznych, choć może to sformułowanie jest trochę na wyrost. W dodatku złodziejem i to najgorszego kalibru, gdyż okrada tych którzy okazali mu dobroć³. A na końcu mordercą.

Gelsomina jakoś tłumaczy sobie kolejne wady swego herosa. Usprawiedliwia je, ignoruje ją dla innej kobiety, bo jest kobieciarzem; lub przemilcza, jak choćby tę kradzież. Jej protesty tak naprawdę nie są zbyt stanowcze i od razu wiadomo, że nie zależy jej specjalnie na tym by się zastosował do tego, lecz by wysłuchał co ma do powiedzenia. Morderstwo Szalonego jest jednak tym czego nie potrafi zrozumieć.

Nie chce, bo co tu jest do rozumienia?

Zampano, jej wybawiciel [*sic!*], pozbawił życia człowieka. Zawsze radosnego. Eksplodującego od nadmiaru energii. Fakt, strasznie denerwującego, lecz to jakby mieć pretensje do świerszcza, że cyka.

Dla Gelsominy to koniec. Prawda, że nie opuszcza Zampano, w końcu on zapewnia jej wyżywienie, ale staje się personifikacją jego wyrzutu sumienia, które on porzuca. Bo za bardzo ciąży.

La Strada to też swego rodzaju burleska *a'la* Chaplin, jednak nie w stylu *Charlie żołnierzem etc.*, ale raczej *Brzdąca*, czy *Świateł wielkiego miasta*. Gelsomina wygląda jak skrzyżowanie Charliego-trampa z Pierotem. Jej ruchy przypominają chwilami zachowanie komików kina niemego. Zresztą nie tylko jej. Matka głównej bohaterki, gdy rozpacza z powodu wyjazdu córki zachowuje się dosłownie jakby była przyzwyczajona do tego, że widz nie usłyszy co mówi. Ta *nadekspresja* może jest anachronizmem, a może hołdem reżysera, dla czegoś co minęło, a może aktorzy się jeszcze nie przyzwyczaili, jednak tak naprawdę to nie jest ważne, bo prezentuje się to niezwykle interesująco.

To co odróżnia ten film od większości pozycji Chaplina to zakończenie. Pesymistyczne. Smutne.

Jednak czy na pewno?

Śmierć Gelsominy udowadnia nam, iż Zampano ma serce. Dostrzegamy wreszcie, że czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za tę pokraczną istotę, która była piękniejszym stworzeniem, niż on kiedykolwiek będzie w stanie zrozumieć. Może porzucił ją, gdyż wiedział że prędzej czy później zabije w niej wszystko co dobre, a tego by nie zniósł!

Osobiście uważam, iż stchórzył a gdy dowiedział się, że jej już nie ma obudziło się w nim coś co starał się zabić.

Zampano jest zatem człowiekiem. Nawet największy drań może okazać ludzkie odruchy. Czy to zatem nie jest prawdziwy *happy end*?

Może i jest, ale czy trzeba było śmierci człowieka, by się przekonać, że nikt nie jest do końca zły?

Przemysław Damski
damen32@wp.pl

³ Skojarzenia z Jeanem Valjean z *Nędzników* Victora Hugo chyba jak najbardziej uzasadnione.

Promieniotwórczość, Skłodowska i skandal

Będąc wierną czytelniczką KIH-y z przykrością muszę zauważyć, że w szeregach BARDZO WAŻNYCH TEMATÓW poruszanych na jej łamach brakuje tego, co Tygryski lubią najbardziej – rubryki plotkarsko-towarzyskiej, niosącej odpowiedzi na dręczące ludzkość od wieków pytanie: „kto z kim”? Nie zakłócając intelektualnego charakteru pisma, pomówmy o postaci historyczno-chemiczno-fizycznej...

Dokonań naukowych Marii Skłodowskiej Curie nie będę opisywać z dwóch powodów – są one na ogół dość znane, a poza tym, rozważania na temat blendy smolistej znacznie przewyższają moją znajomość chemii.

Małżeństwo z Piotrem Curie oprócz pewnych odkryć naukowych i Nagrody Nobla nie wniosło szczególnie poczytnych tematów do kronik towarzysko-obyczajowych nad Loarą. Skromna chemiczka była postrzegana jako kobieta dzieląca swój czas między pracę i rodzinę.

Po tragicznej śmierci Piotra, przez kilka lat wiodła samotne życie wypełnione głównie obowiązkami zawodowymi. To właśnie w laboratorium, między próbkami i w oparach chemikaliów poznała kolegę po fachu, Paula Langevina. Dzięki niemu już wkrótce stała się bohaterką skandalu obyczajowego, który poruszył nie tylko gospodynie domowe, ale i polityków.

Młodszy o 5 lat Paul był cenionym fizykiem, profesorem College de France, a także współtwórcą projektu reformy francuskiego szkolnictwa. W życiu prywatnym związany był z kobietą, która według relacji znajomych nie tylko nie podzielała jego pasji naukowych, ale była wręcz przeciwna absorbującej pracy zawodowej męża. Zupełnie inną postawę reprezentowała Maria... Wkrótce przyjaźń i wspólna praca zmieniły się w znacznie bliższe relacje.

Związek dwojga naukowców przestał być tajemnicą za sprawą... żony Paula. W walce o utrzymanie małżeństwa stosowała metody szantażu, wykradała listy kochanków, poczym przekazywała je redakcjom prasy brukowej. Opinię publiczną szczególnie wzburzył fragment listu Marii, w którym namawiała przyjaciela do rozwodu, gdyż w jej opinii małżeństwo to szkodziło karierze naukowej Paula. Działania pani Langevin padały na podatny grunt. W obliczu szalejącej w ówczesnej Francji ksenofobii (był to czas głośnej sprawy Dryffussa), Skłodowska stała się jednym z wrogów publicznych, jako „cudzoziemka rozbijająca francuską rodzinę”. W niektórych kręgach rozważano możliwość deportacji uczzonej.

W obronie Marii stanął m. in. Albert Einstein, określając ją „jedyną osobą, której nie zepsuła sława”. Prasa była jednak bezlitosna. Oprócz tradycyjnych gorzkich uwag były też bardziej błyskotliwe wypowiedzi sugerujące, że winą za rozpad małżeństwa Langevinów należy obarczyć pierwiastki promieniotwórcze – ich działanie miało mieć zły wpływ na moralność „napromieniowanych”.

W związku z narastającym napięciem, Paul wyzwiał jednego z dziennikarzy na pojedynek, który obył się bez ofiar. Broń Langevina była źle nabita, a jego przeciwnik był zbyt onieśmielony by strzelać do światowej sławy naukowca.

Wobec braku perspektyw na szczęśliwą kontynuację związku, Paul powrócił do żony zawierając z nią ugodę w wytoczonym mu przez nią procesie.

Historia tej znajomości zakończyła się w sposób żywcem wyjęty z powieści dla pensjonarek – po latach, wnuk Paula – Michael, pojął za żonę wnuczkę Marii – Helenę Joliot.

Tą i inne historie świetnie przedstawia w swojej książce „Życie Marii Curie” Susan Quinn. Biografia ta, pomimo rzetelnych opisów (zarówno z punktu widzenia historyka, jak i chemika) ma jedną poważną wadę – tytuł. Autorka zapomniała (?) o pierwszym – polskim członie nazwiska odkrywcy radu...

Aneta Stawiszyńska
anetas83@wp.pl

Z rozmyślań przy śniadaniu...

Siedząc, co rano nad konsumpcją pierwszego posiłku od czasu do czasu wpadają mi do głowy dziwne myśli. Nie wiadomo czy jest to spowodowane wybrykami wieczoru poprzedniego, niewyspaniem, czy nagłym napływem niebanalnych i nieprzeciętnych pomysłów, w każdym razie coś w tym musi być, że zaczynam zastanawiać się nad wydawałoby się prozaicznymi sprawami.

Może to śmiesznie zabrzmieć, ale myśleliście kiedyś na przykład skąd i kiedy herbata wzięła się w Polsce? Pytań oczywiście może być więcej czy zawsze miała taki smak (nie mylić z ciecżą herbato podobną z maszyny do napojów), czy było tyle jej odmian i czy była tak dostępna (jak w czasach PRL-u ocet)?

No i oczywiście pytanie podstawowe, po co w piśmie historycznym piszę o... herbacie!? To ostatnie pozostawię bez odpowiedzi, choć kiedyś usłyszałem, takie zdanie, że dzięki Anglikom herbata stała się tak popularna...(Sic!). Wszystko pięknie, ale czy Polacy też zawdzięczają ten napój wyspiarzom?

Przyjrzyjmy się historii.

W Polsce w pierwszej połowie XVIII wieku herbata uważana była za lekarstwo, (swoją drogą ciekawe jak skuteczne), ale już kilkanaście lat później zaczęto ją pić w warszawskich kołach arystokracji, potem na dworach magnackich czy w parafiach...

Jednak rozpowszechnienie u nas picia herbaty to sprawa... (tu proszę o werble)...

ROSJAN!!! a dokładniej „bratnich” wojsk okupacyjnych! (dziękujemy WAM! Jakiś wiek później dostaniemy kolejny prezent od innego „bratniego” narodu- coca colę...)

W XIX stuleciu był to już napój tani. Wraz z nim przybył ze Wschodu tajemniczy przyrząd do parzenia herbaty- „samowar”. Do dziś można go spotkać w niektórych polskich domach, gdzie uroczym dopełnia stylowych wnętrz typu „późny giermek”, lub służy jako np.... doniczka. Także sposób picia stał się niesamowicie ważny, w zapomnienie odeszły filiżanki, zaczęło się królowanie szklanki.

Skoro mówimy o historii herbaty to wspomnijmy o jej początkach. Jakies 4700 lat temu zaznaczają jej istnienie Chińczycy. Zaciekawie mogą także ich legendy jej dotyczące. Jedna z nich głosi, że roślina ta wyrosła z... powiek pewnego mędrca chińskiego, który odciął je, ponieważ... zasnął przy modlitwie. Biedaczek tak się przejął, że postanowił, iż nigdy więcej tego nie zrobi, jedynym problemem były jego opadające ze zmęczenia powieki. Najprostszym sposobem było... ich odcięcie. I tak oto mamy herbatę!!!... dobrze to jest już koniec bajki, grzeczne dzieci pójdą spać, a całą resztę proszę o uzbrojenie się w cierpliwość.

Wracając do sposobów przyrządzania dla kontrastu z naszą zwykłą, codzienną, do której już przywykliśmy i nad którą nawet się nie zagłębiałyśmy czynnością, ukazać kilka ciut bardziej oryginalnych.

Tybetańczycy używają herbaty zarówno w postaci płynnej jak i na sucho. „Czasuma”, czyli napój herbaciany to połączenie mocnego wywaru z herbaty z dodatkiem masła z mleka, jaka ☺ oraz soli! Wszystko to ubija się w specjalnej bułeczce otrzymując bardzo kaloryczny napój- podobno wyśmienity na gorąco- swoisty energy drink (jeśli ktoś przypadkiem skusi się, proszę o maile z waszymi wrażeniami).

Kolejny przykład to herbata „po birmańsku”. Jada się tam powszechnie świeże liście herbaty podobnie jak sałatę, ale wracając do przyrządzania napojów to gustują oni w odmianie... kiszanej. Kisi się ją nawet do 6 miesięcy, spożywa się również jako danie lub dodatek. Równie niecodzienny proces przyrządzania mają Australijczycy. Tamtejsi hodowcy owiec przygotowują tak zwaną herbatę bekonową. Otóż w puszkach po konserwach mięsnych gotują bekon w herbacie. Otrzymany wywar jest podobno nawet smaczny.

Sami przyznacie, że pomysłowość nie zna granic. Sposobów przyrządzania jest na pewno dużo więcej, ale oszczędzę kolejnych przykładów.

Każdy z Was ma pewnie ciekawsze rozmyślenia przy śniadaniu...

Grzegorz Lesiewicz

P.S. Dla uspokojenia wszystkich- kolejny mój artykuł nie będzie o kanapce ☺.

Zespół redakcyjny: Przemysław Damski, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak, Kajetan Rudnicki, Sylwia Wielichowska.

Współpraca: Sebastian Adamkiewicz, Jonasz Brzozowski, Łukasz Popowski, Karolina Sikala, Sławomir Szczesio, Przemysław Wieczorek.

Rycerzyka projektował Przemysław Damski.

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii
Uniwersytetu Łódzkiego oraz w Pracowni Intrologatorskiej
i Kserograficznej pp. Ewy i Amilkara Kosińskich.**

Nakład 250 egz.

Z przyjemnością zapraszamy do ogólnodostępnej, profesjonalnej i nowoczesnej Pracowni Kserograficznej i Intrologatorskiej. Znajduje się w naszym Instytucie, przy szatni.

W szerokim wachlarzu usług znajdują się m. in.:

- *Kserokopie A4 od 6 do 10 groszy*
- *oprawy prac wszelakich*
- *eleganckie passe-partout*
- *wydruki i skanowanie*
- *reperacje i oprawy druków, starych książek, czasopism*

Pracownia oprawia profesjonalnie każdy rodzaj prac bez względu na format i objętość. Oprawy wykonywane są na miejscu, bez korzystania z tzw. gotowych okładek.